

MÓGŁBYM TEŻ NAMALOWAĆ FACETA

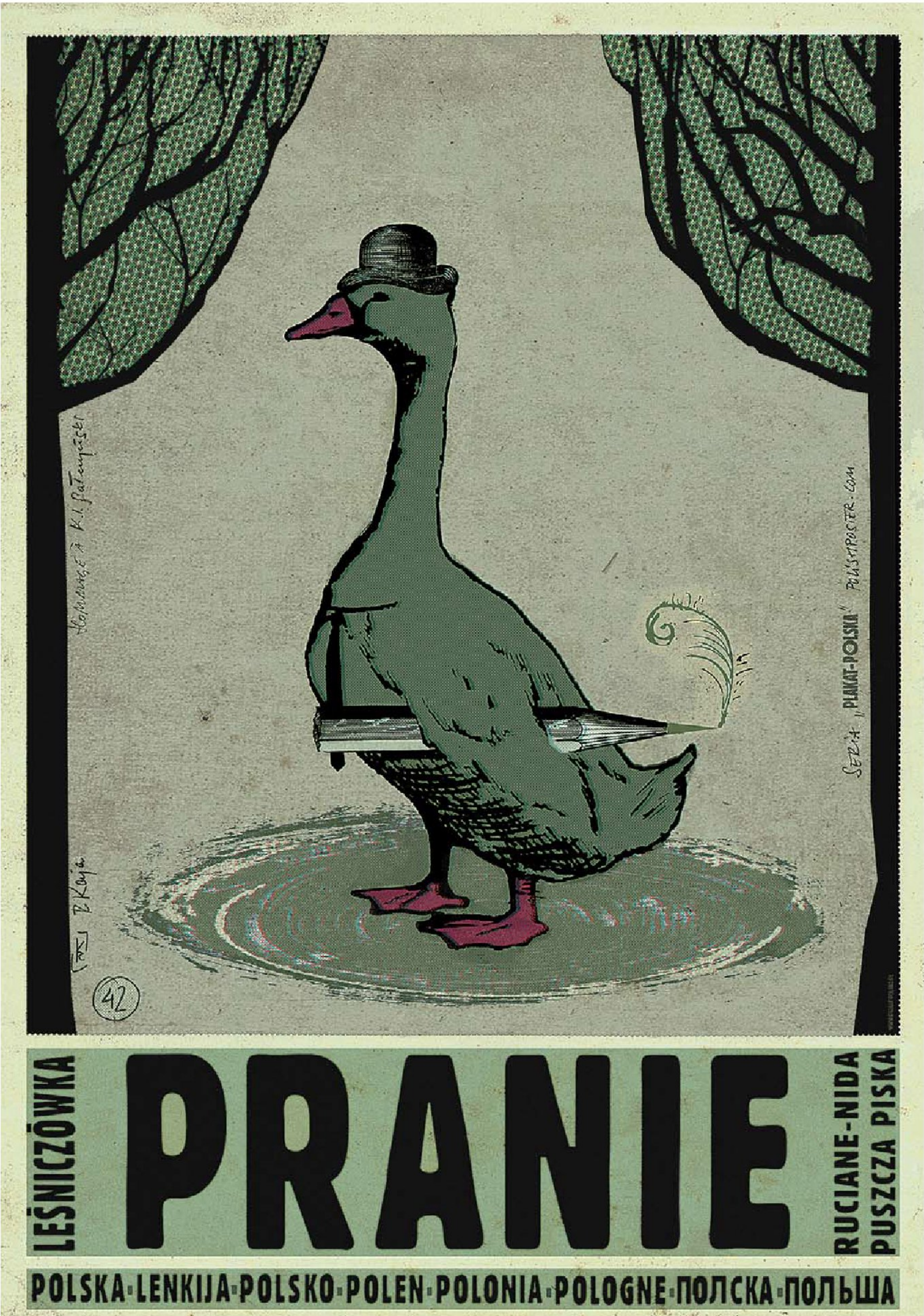
JEST NIE TYLKO ŚWIETNYM ARTYSTĄ, ALE RÓWNIEŻ INTERESUJĄCYM CZŁOWIEKIEM, UTALENTOWANYM OPOWIADACZEM CIEKAWYCH HISTORII. POLSKA, KTÓRĄ PRZEDSTAWIA NA SWOICH PLAKATACH, DA SIĘ LUBIĆ.

Z Ryszardem Kają malarzem i scenografem rozmawia Ewa Mazgal

— Interesuję się od wielu lat twórczością malarzy, grafików, plakacistów, dizajnerów i performerów, ale pan przyznam, był dla mnie odkryciem.
— (Śmiech).
— Naprawdę! Jest pan znany w Poznaniu, Łodzi, Egipcie i Argentynie, ale w Olsztynie nie. Jak by się pan przedstawił? Jest pan malarzem, grafikiem i scenografem. Kim teraz jest pan najbardziej?
— Chyba jednak malarzem, chociaż o wiele bardziej znane są moje plakaty czy scenografie. To jest tak. Skończyłem szkołę plastyczną w Poznaniu. Zawsze dużo rysowałem i malowałem. Zresztą projektując, też malowałem. Nie korzystam raczej z komputera, choć to bardzo przydatne urządzenie. Jednak jestem mało techniczny, lubię rysować, malować, pieścić kartkę ołówkiem.
— Wtrącę, że pochodzi pan z artystycznej rodziny — tata Zbigniew grafik i scenograf, mama Stefania ceramiczka i malarka. Powiedzieli: Rysiu, ty też musisz?
— Mnie wydawało się naturalne, że maluję. Ale w szkole nie czułem się zbyt dobrze.
— Dlaczego?!

— Były to czasy kompletnego szaleństwa conceptualnego. A ja ze swoimi tradycyjnymi obrazkami byłem trochę na uboczu. Ponieważ nigdy nie gloryfikowałem przesadnie sztuki, przez szkołę przebrnąłem i potem próbowałem znaleźć sobie miejsce. Okazało się, że niewiele rzeczy umiem robić.
— Serio?!

— No tak (śmiech). Gdzie nie poszedłem, wydawało mi się, że nie umiem się znaleźć, ale cały czas malowałem. Bez malowania nie umiem po prostu. Nagle wylądowałem w teatrze i zachwyciłem się tym światem, światem za kulisami, za kotarami. To świat naprawdę z pogranicza magii i snu. A jak zacząłem projektować kostiumy i dekoracje do spektakli, miałem wtedy do czynienia z materią najprzedniejszą. Porwały mnie wielkie operowe namietności i wszystkie moje miłości były wielkie i operowe (śmiech). Potem zrozumiałem, że w teatrze już nie umiem niczego więcej zrobić.



Ryszard Kaja: Stwierdziłem, że zrobię całą serię plakatów poświęconą Polsce. A że jestem podróżnikiem, zjechałem kraj



W SKARPETKACH I SANDAŁACH



RYSZARD KAJA urodził się w 1962 roku w Poznaniu. Autor ponad 150 scenografii. Pracował jako scenograf m.in. w Teatrze Wielkim w Łodzi, operze i operetce w Szczecinie i w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Maluje, rysuje, ilustruje książki i tworzy plakaty. Mieszka we Wrocławiu.

— Ale w operze i balecie zrobił pan bardzo dużo!

— Bo pracowałem prawie 20 lat, a przy tym chyba zawsze byłem dość pracowity. Brak talentu, wiedzy czy rzemiosła trza pracowitością nadrobić, więc się tych scenografii nabierało.

— I podróżował pan do odległych krajów świata, jak Brazylii.

— Z tym też bym nie przesadzał. Bo to nie jest tak, że świat zwariował na moim punkcie i nagle przysły propozycje z całego świata. To było raczej tak, że spektakl, do którego robiłem scenografię, był przenoszony na zagraniczną scenę. Nikt nie twierdził, że Kaja jest genialny i zapraszamy Kaję na drugą półkulę. Tak nie było. Jechałem ze spektaklem. A ponieważ bardzo lubiłem podróże, czasem godziłem się na podłe warunki, by ów inny daleki świat zobaczyć.

— Bardzo pan skromny. Tych podróży było jednak sporo. Jak te odległe, egzotyczne dla nas światy wpłynęły na

pana jako człowieka i jako artystę. Bo artysta ma już swój własny język. Czy dodał pan do swojego słownika obce terminy?

— Jest kilka rodzajów podróżowania. Na przykład „resortowe”, którego nie lubię. Rozumiem jednak ludzi, którzy mają dwa tygodnie urlopu w roku i chcą po prostu odpocząć. Najlepiej zrobić to na leżaku z dobrym drinkiem. Lubię resorty, ale tylko w pierwszym dniu, kiedy korzystam z wielkiego białego pokoju, jem wspaniałe śniadanie. Na drugi dzień już trochę się nudzę, a trzeciego dnia dostaję szału, bo nie lubię sytuacji oczywistych, a luksus jest obrzydliwie nudnie oczywisty — w każdym razie taki luksus, który jest w moim zasięgu. Tam wszystko jest oczywiste, wiadomo co będzie. Nie boję się trudu i wysiłku podczas podróży, choć nie jestem też twardzielem, który zniesie każde warunki. Mnie zależy na tym, żeby znaleźć się w zupełnie innym miejscu, gdzie świat mnie zadziwia. W epoce globalizacji takie miejsca są coraz bardziej ukryte.

— Właśnie!

— Zdarzało mi się stać na ulicy w Bogocie, Dakarze czy Szanghaju i myśleć: Boże, wszystko wszędzie jest takie samo!

— A znalazł pan w końcu to inne miejsce?

— Tak, choć w takim miejscu człowiek nie zawsze wie jak się zachować. Popelniałem potworne faux pas, ale były one częścią przygody. W Iranie byłem zaproszony do prywatnego domu. Siedzieliśmy na dywanach, jedliśmy wielbłądzinę, było cudownie i fantastycznie. Byli gospodarze, ich córka z adoratorem, jej bracia. Spędziliśmy z nimi przyjemne trzy godziny. Na zakończenie wstałiśmy, żeby się pożegnać. Podałem dłoń gospodarzowi, dziękuję mu, kłaniam się dziesięć razy. Następnie biorę dłoń pani domu i odruchowo, zupełnie zapomniawszy, że jestem w Iranie, wziąłem i pocałowałem tę dłoń.

— O rany! I co?

— Prawie wywołałem skandal. Musiałem się gęsto tłumaczyć. Gospodarze wysłuchali, pomamrotali, pomamrotali, pani domu wzięła

moją dłoń i też pocałowała.

— Coś takiego!

— I to jest właśnie piękno nieresortowych podróży. Bardziej interesuje mnie udany wieczór w domu z ciekawymi ludźmi, gdzie panują inne zwyczaje niż piramida, mur chiński czy inna pocztówkowa atrakcja. Lubię spotkania z obcą kulturą, nawet nie tą wielką z zabytkami klasy potrójnego zera, ale kulturą życia codziennego. Zachwyca mnie świat życia i śmierci w Meksyku. Tam śmierć jest częścią kultury. Czaszka jest dominującym motywem codziennym. Spojrzenie na śmierć z innego, w tym przypadku meksykańskiego punktu widzenia jest czymś fascynującym.

— To przeskoczmy szybko do Polski. Bo odkrył pan przez plakaty reklamujące różne regiony Polski i w ogóle nasz kraj. A w ogóle do robienia plakatów jest chyba potrzebna specyficzna inteligencja?

— (Śmiech). Wystarczy smykała! I trzeba być pracowitym. Ale seria „Polska” rzeczywiście bardzo mi pomogła w życiu.

— Jak powstała?

— Niespodziewanie. Dostałem zlecenie na plakat reklamujący galerię we Wrocławiu i stwierdziłem, że zrobię ich całą serię, poświęconą Polsce. A że jestem podróżnikiem, zjechałem kraj, to mam o czym opowiadać. No i nie jestem aż taki skromny jak pani łaskawie myśli. Malując te plakaty, opowiadałem nieskromnie, ba, bałwochwalczo, o moich doświadczeniach. Ta seria to bedeker moich przygód.

— To ja trochę też opowiem o tych plakatach. Bolesławieć to kropki, charakterystyczne dla bolesławieckiej ceramiki. Podhale i Łeba to subtelna erotyka, Babimost — cycki, Wrocław — hala ludowa z iglicą, Krynica — Nikifor, Łódź — Strzeмиński, a Szczecin — nowa filharmonia.

— Plakat jest trochę z boku mego świata. Dzisiejszy plakat zresztą to taka designerska galanteria. Ja robię go na granicy mojego prywatnego świata. Ale jak opowiadałem o Polsce, to poprzez sztukę, którą cenię. Lubię malarstwo naiwne, stąd Nikifor.

Z lekkim uśmieszkiem patrzę na tych artystów, którzy za wszelką cenę starają się być światowi. A Nikifor czy Jerzy Nowosielski nigdy tego nie próbowali. Jeden jest bardzo krynicki, drugi bardzo prawosławny. A przez to, że są bardzo prawdziwi, świat się nimi zainteresował. W serii złożyłem też hołd najważniejszemu dla mnie osobom kultury polskiej. Wielopole to oczywiście Kantor, Szamoty — to cytaty z drzeworytów mego ojca, Wisła — Wisława Szymborska. Jakoś nikt przede mną nie zauważył, że linia Wisły to właściwie dokładnie profil pani Szymborskiej.

— Są też plakaty reklamujące nasz region. To leśniczówka Pranie z Zieloną Gęsią i Kanat Elbląski ze stateczkiem wspinającym się pod górę.

— Moi rodzice odwiedzali Pranie krótko po wojnie i nawet znali Gałczyńskiego, choć nie znaczy to, że byli z nim zaprzyjaźnieni. Mamy nawet w domu jego dwa lub trzy nigdy niepublikowane wiersze. I Gałczyński był obecny w naszym domu. W szkole podstawowej zawsze, gdy trzeba było przygotować jakieś wiersze, recytowałem Gałczyńskiego. To on mnie nauczył miłości do języka polskiego.

— Pana plakaty bardzo mi się podobają, bo nie są nachalne ani designersko-odlotowe.

— Ma to być bezpretenjonalne, miłe zwiedzanie Polski.

— Są też plakaty ogólnopolskie. Przedstawia pan nasz kraj, używając lasu z łosiem, truskawki w koronie, śledzia na talerzu, ogórków w stoiku w sąsiedztwie pół litra lub makatki kuchennej.

— Nie ma co udawać, że jesteśmy inni. Nie jesteśmy krajem o przebogatej architekturze, ale mamy inne rzeczy. Mamy ceratę i kiszzone ogórki. To nas wyróżnia. I mamy najsmaczniejsze truskawki na świecie.

— A, to dlatego narysował pan truskawkę w koronie! A tak poza tym to lubi pan Polskę?

— Tak! Ja myślę, że to wiadać w tych plakatach. A im więcej jeżdżę po świecie, tym bardziej dostrzegam uroki naszego kraju. Nie mamy

najpiękniejszych zabytków na świecie, bo wiele z nich zniszczono, zniszczono nam tradycję. Nie będziemy mieli tego, co jest w każdym francuskim miasteczku, na przykład kawiarni z dwustuletnią tradycją. Musimy znaleźć inne rzeczy, które nas wyróżniają.

— Na pewno mamy bardzo wielu ciekawych artystów.

— Nowosielskiego, Kantora, Gałczyńskiego, mamy artystów absolutnie światowej klasy. Mamy swoje swojskie zwyczaje, tego śledzika na ceracie...

— ...I cmok w rękę mamy.

— Dokładnie. Tacy jesteśmy. W swoich plakatach nie jestem kpiarski, ale mógłbym namalować faceta w białych skarpetkach i sandałach. Świat się oburza, że my tak chodzimy. Ale pomyślałem sobie: czemu? Tacy jesteśmy.

— Ale to świat się oburza na skarpety i sandały czy niektórzy Polacy?

— Tylko Polacy. Może to nie jest zgodne z modą, ale czy zawsze trzeba być modnym? Słyszałem też, że na niektórych plażach w Polsce nie będzie można roztawiać parawanów. To paranoja! Parawany to nasza absolutna specyfika, więc rozreklamujmy Polskę jako jedyny na świecie kraj parawanów na plaży. Mamy dużo kompleksów, cech wschodnich i zachodnich. Na wschodzie mówi się o nas lekko kpiarsko „pany”, a z drugiej strony jesteśmy strachliwi i niepewni siebie.

— Co pan teraz robi artystycznie?

— Cykl linotypów pod tytułem „Nocne ho-mary”. Będą to prace troszkę, troszeńkę inspirowane japońską sztuką shunga, ale w naszym prząsnym wydaniu, bardzo sporego formatu, na delikatnych bibułkach, podobnie jak na mojej wielkiej wystawie w ponańskim Arsenale, gdzie jest ich prawie 700.

— Czym pan rysuje?

— Co jest pod ręką. Jak jest kawa, to kawą. Jak potrzebuje szarości, to rozmazuję popiół z papierosa. Bez malowania bym zwariował. Generalnie jestem pogodnym facetem, ale świat wesół nie jest.

— Generalnie nie jest.

— I trzeba coś wymyślić, żeby przetrwać i ten świat wokół nas oswoić.



W SWOICH
PLAKATACH NIE
JESTEM KPIARSKI,
ALE MÓGŁBYM
NAMALOWAĆ
FACETA
W BIAŁYCH
SKARPETACH
I SANDAŁACH.
ŚWIAT SIĘ
OBURZA, ŻE MY
TAK CHODZIMY.
ALE POMYŚLAŁEM
SOBIE: CZEMU?
TACY JESTEŚMY.